ROK PIĄTY.

№ 43.

WARSZAWA

d. 9 (21) października

1860.

REDAKCYA CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

NIEDZIELA.

21sza po Świątkach.



„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Postu naszego dokładajmy miłosierdziem; dajmy to cnocie, co ujmujem rozkoszy. (*Czytania Bractwa Miłosierdzia na każdą Niedzielę roku przez X. P. Skargę*).

Stary ogrodnik. (*)

Pogodnie zachodziło słoneczko jesienne,
Złocąc prześliczne kwiatki ostatnim promieniem,
Co przybrane w swe kształty i barwy odmienne,
Płonęły jakby w ogniu pod jego spojrzeniem.
A ponad niemi grusze, śliwy i jabłonie
Pochylone ku ziemi od swoich ciężarów,
Roznosiły w powietrzu balsamiczne wonie,
Nęcąc mile człowieka powabem tych darów.
Na trawniku, podobna do gołębi stadka,
Buja ochocza dziatwa wśród gwaru i krzyku,
I sprzecza się wpół żartem wesoła gromadka:
Które najwięcej gruszek złożyło w koszyku?
Wpośród nich siwy starzec z pogodą na czole,
Poważnem słowem małej przewodniczy rzeszy,
I trzymając na wodzy zbyteczne swawole,
Pracowitych pochwala, zawstydzonych cieszy.
Coraz u stóp zbieraczy sypnie się grad gruszek,
A żadna z nich na ziemię nie upada marnie,
Bo natychmiast znak daje wesoły staruszek,
I pracowita dziatwa nowe plony garnie.
Skończona wreszcie praca maleńkich zbieraczy,
Utrudzone ich czoła szukają ochłody,
Bo jak mówią: bez pracy, nie będzie kołaczy,
Ale też kto pracuje, godzien jest nagrody.
Więc nasz starzec zasiadłszy wśród wnucząt na trawie,
Każdemu pewną ilość owoców przeznacza,
I rozkłada im ucztę na drewnianej ławie,
Smaczniejszą niż wśród sreber na stole bogacza.
I szczęśliwy ich szczęściem, kiedy się rozbawi,

(*) Jest to prawdziwa żyjąca dotąd postać. Zacny ten starzec nazywa się Franciszek K.... ; był on jeszcze ogrodniczkiem w czasie ostatniego panowania króla Stanisława, w służbie księcia Józefa Poniatowskiego. Obecnie liczy już przeszło ośmdziesiąt lat wieku. Mieszka przy ulicy Wielkiej w domku nawpół zapadłym w ziemię, okolonym sadem, którego smaczne owoce wywabiają nas w tamte strony.

Sięgnąwszy bystrą myślą w przeszłości swej dzieje,
To ze łzą, to z uśmiechem naprzemian im prawi,
To smutne, to wesołe żywota koleje:
Gdzie to on chodził w świecie za powszednim chlebem,
Ile przeszkód pokonał siłami własnemi,
Nad ilu to znajomych już płakał pogrzebem,
Ile różnych wypadków oglądał na ziemi;
Jak w końcu zamieszkawszy swój ojczysty kątek,
Korzystać zawsze pragnął z dobrego przykładu,
Krwawym znojem rąk swoich pomnożył majątek,
I z kilku drobnych drzewek doczekał się sadu.
Jak w domowem pożyciu Bóg mu błogosławił,
Dając żonę uczciwą i dziateczki hoże,
Jak z niejednej go biedy swą łaską wybawił...
A wtedy drżące dłonie złożywszy w pokorze,
Pochyla jak kwiat lilii swoję głowę siwą,
Podnosząc głos dziękczynny z sercem rozrzewnionem,
Za dostatek zdobyty swą pracą poczciwą,
I błaga o opiekę nad swych wnucząt gronem:
Aby święte anioły, czyste niebios posły,
Czuwały nad sercami tych niewinnych dziatek,
By na chwałę dla Stwórcy i pożytek wzrosły,
Wydając słodki owoc w jesieni swych latek.
I nieraz cichy księżyc, swym lubym promieniem
Zaglądając tak mile do staruszka progu,
Widzi go, jak wśród wnucząt otoczon milczeniem,
Uczy je żyć, pracować i umierać w Bogu!

Oto są moje klejnoty.

—

W rozmowie z starymi ludźmi, tak samo jak w dobrej książce można się dużo pięknych rzeczy dopatrzeć i nauczyć. Owóż przed paru tygodniami spotkawszy się już późnym wieczorem z panem Antonim dawniej urzędnikiem, a obecnie emerytem, poszliśmy na przechadzkę ulicą Zakroczymską w Warszawie, aż ponad Wisłę. Jedenasta godzina uderzyła na zegarze w wieży kościoła Panny Maryi, kiedy chodząc tu i owdzie, stanęliśmy przy ostatnim domku ulicy Rybaki tuż nad samym brzegiem Wisły. Noc była ciepła, pogodna, księżyc przyświecał ziemi i wodzie. Piękna jest nasza Wisła w dzień jasny, kiedy ją słońce przystraja, ale piękniejsza w pogodnej nocy. Długo podziwialiśmy ten widok, nie mówąc ani słowa do siebie.

— Ale spojrzyj no pan, zawołałem, jak ten domek czyściuchny dokoła, i jak uroczym wydaje się w tym blasku księżyca.

— Prawda, odrzekł pan Antoni, ale daleko piękniejszy dla czego innego: mieszka w nim kobieta wdowa, którą od lat kilkunastu znam tak dobrze jak własne dziecko.

— Czy pan bywasz u niej? zapytałem.

— Bywam, ale nie często, żeby jej moją bytnością wydatków nie powiększyć, bo za dobra i za gościnna.

— Czy to nie jej ten domek? pytałem dalej.

— Nie, tylko w nim się wychowała, poszła zamąż i owdowiała, a właściciel domu tyle ma dla niej względu, że jéj nie podwyższa płacy za lokal z 3ch pokoiczków się składający, i dozwala jej jeszcze jakby właścicielce utrzymywać go podług swej myśli w porządku. Ale czy widzisz, jak przez szczeliny okienic dobywa się światło, chociaż to już 12 godzina w nocy?... pewnie biedaczka ślęczy nad jaką robotą.

— Zaciekawiasz mnie panie Antoni życiem tej kobiety; zmiłuj się, opowiedz mi o niej co wiesz, może się to komu na co przydać.

Zamyślił się nieco pan Antoni; po chwili rzekł: Ha, nieźle czasem posłuchać, co mówią starzy, i usiadłszy na dnie wywróconego czółna u brzegu, zaczął mi tak opowiadać:

Obok w sąsiedniej kamieniczce tego małego domku przed 38 laty, mieszkała wdowa po oficerze wojsk polskich, poczciwe kobiecisko, biedne i bez rodziny wstydząc się próżnować; a mając 1000 zł. całego majątku, otworzyła skromny sklepik norymbergski, — ale prawdziwem jej szczęściem była jedyna córka Karolcia.

Różnie jej się powodziło, jednak obok tak ciężkiej pracy od świtu do późna w nocy, nieustannie zwracała baczne oko na swoję Karolcię, rozwijającą się jako kwiat na wiosnę.

Nauczała jej wiary, przyzwyczajała do pracy, zaszczepiała skromność posłuszeń-

stwo, mówiąc, że choć nie będzie miała majątku, ale kochając Boga i matkę, unikając kłamstwa, miłując ludzi jako współbraci i nie czyniąc krzywdy najmniejszemu nawet robaczkowi, znajdzie łaskę u Boga, a miłość u ludzi.

I wyrosła w tych cnotach owa Karolcia na 16toletnią już panienkę, żywą, wesołą, swobodną jako ptaszek polny. Cieszyła się matka, spoglądając na Karolcię biorącą się chętnie do pracy, miłującą czystość i we wszystkiem jej posłuszną, wróżąc sobie, że się doczeka z niej pociechy. I nie zawiodła się w swojej nadziei.

Kiedy już Karolcia 16 lat skończyła, pomimo że była córką tak biednej matki, zwracała na siebie niejedne oczy młodych ludzi, zwłaszcza tych, co nie majątku, ale cnót w młodej panience dopatrują.

Do takiej to młodzieży należał pan Roman, jedyny syn zamożnego obywatela, mającego kamienicę w Warszawie; mimo to jednak już od paru lat pan Roman pracował na siebie w jednem z biur rządowych. Najczęściej też pan Roman przychodził do mieszkania tego samego, przed którem stoimy. Skromny, gospodarny, wkrótce potrafił zjednać dla siebie przychylność naprzód córki, a później otrzymawszy błogosławieństwo matki Karoliny, również i swego ojca podówczas już wdowca, pojął za żonę ładną i uczciwą Karolcię.

Wesele odbyło się w tym domku, i mieszkanie dla młodych państwa Romanów, na prośbę Karoliny, postanowiono wtemże samem miejscu zatrzymać.

Roman i Karolcia wychowani byli uczciwie, jak to mówią do Boga i do ludzi; pożycie ich też w tem nowem połączeniu się małżeńskiem stało się godne naśladowania.

Piękne życie zawsze otrzymuje nagrodę, bo niespełna lat trzech p. Roman dostał znacznie wyższy urząd, tem samem i większą płacę, wspomagany będąc przytem od swojego ojca. Młode więc stadło cieszyło się szczęściem własnem z dwojgiem maleńkich dziatek, które im Bóg na pociechę zesłał.

Chociaż mówią starzy, że szczęście ludzi odmienia, że zapominają nieraz, co winni Bogu i swoim rodzicom, Karolina nie należała do tej liczby; bo chociaż mąż jej zajmował później już znaczny urząd i szczęście nie uciekało od ich progów, ona przecież jak dawniej, kiedy była panienką przy matce, tak samo wspólną pracą dopomagała jej we wszystkiem. Ponieważ matka nie chciała być im ciężarem, Karolcia nie wstydziła się iść nieraz do sklepiku matki, usłużyć gościom, bo pamiętała, że od niej wzięła życie, wychowanie i dobre serce. A co najwięcej Karolinę ozdabiało, mówił dalej p. Antoni, to ubiór zawsze czysty i skromny, również jak jej dziatek, ta łagodność malująca się w jej spojrzeniu, ta prosta naiwność z szczerotą, które tylko uczciwe kobiety posiadają. Nieraz widziałem ją w chwilach wolnych od zatrudnień domowych czytającą książkę dobrą: Pamiątkę po dobrej matce, Rozrywki dla młodocianego wieku, Historyę o tem, co się u nas w kraju działo; dlatego też w rozmowie jej i zdaniu świeciła myśl zdrowa, jasna, że żadna kobieta, najwięcej nauk mająca, nie powstydziłaby się rozmowy i postępowania pani Romanowej.

Jakoś to było w listopadzie -- przypadały imieniny pana Romana męża Karoliny. Niepodobna było dnia tego ominąć bez przyjęcia u siebie gości, tembardziej, że bilety z powinszowaniami jeszcze w wigilją imienin od przyjaciół, sypnęły się jak grad, a na każdem, to Antoni z żoną i synem, to Stefan z żoną, to Ignacy z siostrą, to Stanisław z matką, to Jan wdowiec z córką, to Józefa panna przyjaciółka, składają życzenia. Odebrawszy tak liczne a serdeczne upominki, umyślili państwo Romanowie na imieniny gości zaprosić, podziękować i jakto mówią, uraczyć. Jakoż w dzień imienin wieczorem, zaczęli się zbierać już goście do państwa Romanów i jeszcze przy wejściu ściskając solenizanta, powtarzali mu swoje życzenia. Kobiety zaś nie skąpiąc pochwał dla pani Romanowej, dla tak dobrego jej męża, urodnych dzieci, życząc długiego życia, a jeszcze dłuższego szczęścia dla wszystkich i we wszystkiem, na ziemi, a nawet i w niebie, rozsadowiły się w mieszkaniu państwa Romanów, oglądając i przeglądając je dokoła.

Czem chata bogata, tem rada; było dość dla gości, a mieszkanie chociaż skromniutkie zdawało się rozszerzać jak serca państwa Romanów dla bratniego przyjęcia życzliwych im osób.

Bawiono się zatem uczciwie i wesoło, a kie-

dy po wieczerzy mężczyzni przenieśli się do drugiej stancyjki na fajeczkę i na gawędkę, to kobiety pozostałe otoczyły wieńcem panią Romanowę, całując ją i dziękując za tak serdeczne i gościnne przyjęcie. Zaczęły ją zabawiać rozmaitemi nowinkami to o swoich sługach, to znów o tem, czego się od nich dowiedziały, to o przeróżnych strojach kobiecych, jakie po spacerach na własne oczy dało im się napotykać. Nareszcie zaczęły się sprzeczać z panią Romanową i ni ztąd ni zowąd przyszło do przyjacielskich rad, wymówek i uwag udzielanych przez gościnne kobiety gospodyni domu.

— Kochana Karolciu, mówiły jedna po drugiej, ty jesteś albo rzeczywiście tak skromna, tak lubiąca siedzieć w domu, albo też udajesz tylko skromnisię, bo mąż twój już dość znaczny ma urząd, i podobno 5000 zł. płacy rocznej. Kocha cię aż do zazdrości, i czegobyś tylko od niego zażądała, wszystko gotów dla ciebie spełnić; a nawet jeszcze, jak mi powiadano, i ojciec męża was wspiera, a ty nietylko pozwalasz swej matce pracować, nie chcąc jej wziąć do siebie, ale jeszcze sama dopomagasz pracą, jak gdyby jaka służąca.

Z cierpliwością słuchała pani Romanowa tej i podobnych uwag swoich przyjaciółek, nareszcie zapytała ich: czy już wszystko? może jeszcze za mało?... słucham dalej.

— Na dziś dosyć tego, resztę odkładamy na później.

— Nie trudźcie się więcej; aż zanadto dziś słyszałam. To mówiąc, zarumieniła się twarz pani Romanowej, jakby ją kto krwią oblał; rumieniec ten jednak nie był upokorzeniem, ale uczuciem prawdziwej godności, jako córki, żony i matki; odrzekła więc z całą powagą gospodyni domu:

— Jak z waszej rozmowy sądzić należy, to moje panie nie przyszłyście do mnie, aby się zabawić, lecz żeby mnie karcić niesprawiedliwie. Wiedzcie zatem, że wasze rady, jeśliby z szczerego serca miały pochodzić, uważam za bardzo śmieszne, jeśli zaś z nieżyczliwości ku mnie, to za obłudne, i nie pozwalając więcej rozbierać mojego postępowania, krótko wam odpowiem:

Żadna praca, zwłaszcza uczciwej kobiety, w jakimkolwiek jest stanie i czyjąkolwiek bądź żoną, kiedy ma na celu nieść ulgę rodzinie, nie powinna ją wstydzić. Każde szczęście od Boga zależy; jeżeli ono nas otacza, nie powinniśmy zapominać o tem, że może przeminąć. Odzwyczaiwszy się w szczęściu od pracy, czemże będziemy w nieszczęściu? Ciężarem dla siebie i dla drugich. Oto głosicie: mój mąż urzędnik, i ma bogatego ojca, a jeśli to wszystko naraz zniknie, cóż zostanie? Człowiek obarczony żoną, dziećmi i familją, daleko nieszczęśliwszym będzie od najuboższego rzemieślnika.

Nie zazdroszczę wam niczego; inną kobietę mogłyby takie rady obałamucić i na złą drogę skierować, mnie zaś nie, i na przypadek jakiegokolwiek z moim mężem nieszczęścia, od czego Boże zachowaj, umiejąc wszystko, co do kobiety należy, i nie wstydząc się pracy, niosłabym mu pomoc w jego niedoli, słodziłabym tem jego życie i nieszczęście, starałabym się o ile sił, ulżyć mu swoją pracą, choćby mi przyszło nawet na sprzedaż co robić, aby nie upaść i nie wystawić się, częściej na udane niż na braterskie współczucie. Ludzie zawsze są ludźmi: w szczęściu są przyjaciołmi, lecz w nieszczęściu pierzchną jak jaskółki przed burzą.

Daleko jest piękniej zatrudniać się pracą, jakąkolwiek byle uczciwą i wymagać za to nagrody, niżeli nic nie robić, a w nieszczęściu żądać pomocy. Jedni z litości porzucą jałmużnę, drudzy powiedzą: masz ręce pracuj, a nie wyciągaj ich. Do tych drugich was liczę moje przyjaciółki.

Dla stroju i błyskotek, nie byłoby nic u was świętego, ja zaś wychowana od dzieciństwa przez biedną matkę, znam, co jest niedola; nieraz suchy kawałek chleba gorzką łzą oblany, był dla nas całodziennym pokarmem. Szczęście więc choćby największe nie przyłączy mnie do was, jak również największe nieszczęście nie uczyni natrętną.

Ubierać się bogato, choćby mi na to i wystarczyło, nie będę. Skromność ubioru w kobiecie jest obrazem skromności jej serca. Nie powstydzę się nigdy iść sama z koszykiem do miasta, ugotować mężowi, dzieciom, uszyć, uprać, posłużyć, jeśli kto z rodziny chory; to przeznaczeniem każdej kobiety, jako żony i matki.

Przyjaciółki z gniewu i wstydu aż języka w gębie zapomniały, słuchając, jak im pani Romanowa cięła świętą prawdę.

Pani Romanowa, chcąc jakoś tę rozmowę zmienić, po niedługiej chwili zawołała:

— Ale, ale, moje panie, co do klejnotów, o których mi mówiłyście, choć się z niemi nie chwalę, ale je mam, ukrywam jeszcze przed ludźmi, pielęgnuję i pieszczę się z niemi, a strzegę jak największy skąpiec, bo czem będą starsze, tem dla mnie będą droższe.

Ciekawie spojrzały na siebie kobiety i niby w żart obracając to, co przed chwilą było mówione, udały radość. Przecież aby jedno dobre... więc masz kochana Karolciu klejnoty?.. muszą być bardzo piękne i kosztowne.

— Rzeczywiście, odpowiedziała pani Romanowa, bardzo kosztowne, a jak piękne, na to słów mi brakuje do opowiedzenia.

Ciekawość przyjaciółek rosła.

— Żartujesz z nas Karolciu wołały, to muszą być klejnoty bardzo osobliwe i tysiącami płacone?

— Co, o tysiącach tylko mówicie, kiedy ja za żadne miljonybym ich nie oddała.

— Ej gadasz Karolciu, i tylko zwodzisz nas; może to jaka pamiątka, a ty ją tak drogo oceniasz, zwyczajnie podług dobroci twego serca.

— Dla was, co tak życzliwe jesteście dla mnie i tak serdecznie mnie kochacie, nie mogę się wymówić, abym wam ich nie pokazała. To mówiąc pani Romanowa, wyszła z grona swych przyjaciółek, a przeszedłszy pokój, uchyliła drzwi od alkierzyka małego, gdzie cztero-letni Józio i trzy-letni Staś siedząc na środku, ubrani skromnie, a ładnie jakby dwa aniołki bawili się wesoło.

— Oto są moje klejnoty, wskazując ręką na dwóch chłopczyków!... to są największe skarby, bo to moje dzieci! Nieprawdaż przyjaciółki? że żadne miljony nie mogą się równać z ich wartością, a czem starsze tem droższe będą.

Pokonane słowami pani Romanowej przyjaciołki, rozsypały się z miejsca i każda zbliżywszy się do męża, szepnęła doń cicho: czas iść do domu.

—

Dwie już chwile życia tej kobiety opowiedziałem ci wiernie mój przyjacielu, mówił p. Antoni, trzecia zaś smutna i bardzo smutna; lecz w tej ostatniej pani Romanowa zajaśniała prawdziwem poświęceniem.

Wielka burza przeszła przez serce tej kobiety, głębokie zostawując po sobie zniszczenie; czas tylko, ten najlepszy lekarz w cierpieniach ludzkich i miłosierdzie Boże, choć w części zarównały w jej sercu blizny.

Otóż posłuchaj do reszty. Pan Roman mąż Karoliny skutkiem niezmordowanej pracy, chociaż dopiero miał lat 33 zapadłszy na suchoty, życie zakończył. Matka Karoliny zgrzybiała, skołatana ciężką pracą, musiała przy córce szukać przytułku; i znalazła go.

Ojciec Romana wdał się w spekulacyę dostawy zboża, skutkiem nieszczęśliwych okoliczności, strat, zrodziły się procesa o różne do niego pretensye, i przez pięć lat tak dalece mienie swoje zrujnował, że nie zadługo po śmierci syna, cały dom, który miał zostawić puścizną dla Karoliny dzieci, przeszedł w ręce obce, a starzec skołatany nieszczęściami, ogołocony z majątku, poróżniony z dalszą rodziną, udał się pod opiekę Karoliny, która go z miłością jak córka przyjęła.

Tak więc owa Karolina, której zazdroszczono wszystkiego, w niespełna lat ośmiu pozostała wdową, opiekunką swej matki, mężowskiego ojca i matką dorastających dwóch synów.

Otrzymała wsparcie od władzy, gdzie mąż urzędował 5000 zł, to jest roczną płacę, jaką w ostatnich chwilach życia pobierał, ale z przeznaczeniem do banku aż do pełnoletności synów, a tylko procent matce na ich wychowanie pozwolono odbierać. Całym więc funduszem na jej utrzymanie, dwojga staruszków i dwóch synów była suma 250 zł. rocznie, pobierana raz na rok jako procent z banku od 5000 zł. dla dzieci przeznaczonych i mały dochodzik ze sklepiku.

Przy tak ogromnych i prawie po sobie następujących nieszczęściach, Karolina nie upada na ducha, nie rozpacza, nie rozpościera żalów przed ludźmi, ale ufna w opiekę Boską zabrała się do pracy ręcznej, szycia bielizny, haftowania, robienia kwiatów, i tak niezmordowanie, uczciwe i rzetelnie pracując, zyskała u wielu kobiet, co ją z pięknej cnoty znały, taką przychylność, że jej nigdy roboty nie brakuje.

I czy uwierzysz, nie zmieniła ani mieszkania, ani skromnego stroju, z pracy swej utrzymuje nie tylko siebie, matkę, ojca, ale dwóch synów posyła do szkół.

Kiedy jej raz uczyniłem uwagę, że zamorduje się swą pracą, ona z uśmiechem anielskim odpowiedziała:

Pan Bóg nie dozwoli, aby mnie siły i wytrwałość do pracy opusciły i da jeszcze życia, bym te moje drogie klejnoty, które dotąd są nieoszlifowane jeszcze (pokazując mi dwóch synów), bardzo drogiemi skarbami dla siebie i dla ludzkości uczyniła. Jeśli Bóg mi dozwoli doczekać się tej z nich pociechy, natenczas powiem sobie: wypełniłam to, co w życiu kobiety jest najświętszym obowiązkiem.

—

Już skończyłem. Ale spojrzyj na domek: światło jeszcze błyska przez okienice, a to już po pierwszej godzinie.... i łza w oku starca, szczera i rzewna odbiła się prawdziwem współczuciem dla poczciwej Karoliny.

Obadwa rozrzewnieni wróciliśmy na spoczynek, a każdy z myślą, że takiej kobiety życie godne jest naśladowania!

O szarańczy.

—

W chwili, kiedy część kraju naszego nawiedziła ta nieszczęśliwa plaga, niszcząc w swym przechodzie resztki niezebranych plonów, nie od rzeczy będzie bliżej was nieco z nią zapoznać.

Szarańcza z pozoru podobną jest bardzo do znanego powszechnie konika polnego, tylko znacznie od niego jest większą, długość jej albowiem do pół czwarta cala dochodzi. Pokrywy skrzydłowe, dopóki młoda, ma zielone, z czarnemi plamkami, które następnie ciemnieją i ku jesieni w brunatny kolor przechodzą. Samiec jest barwy nieco jaśniejszej, zielonawo-żółtawej. Skrzydła brunatno żyłkowate, bez żadnych plam, po dwa z każdej strony owadu, wachlarzowato wpodłuż fałdowane. Tułów czerwonawą liniją obwiedziony, reszta zielono brunatna, odwłok i nogi czerwonawe; nogi tylne, silne z grubemi udami do skoków zdolne. Na piersiach wystający ma grzebień. Żyje roślinami i nader jest żarłoczną.

Ojczyzną owadu tego jest Mała Azya, Egipt i stepy południowo wschodniej Europy; żyje on gromadnie, nie znajdując na miejscu dostatecznego pokarmu, szuka go gdzieindziej. Ciągnie wtedy ogromnemi chmurami, tak iż słońce zakrywa; mówią, że czasami w takich masach przeciągać ma nad morzem Śródziemnem i Czarnem. Leci w czasie pogodnym i to tylko w godzinach dnia najgorętszych; usiadłszy na ziemi na nocleg, niszczy nietylko zasiewy, ale wszelkie rośliny i liście na drzewach, tak, iż zerwawszy się dnia następnego, gołą, pognojem swym tylko usłaną ziemię zostawia. Czasami jedna jej chmura okrywa naraz przestrzeń kilka mil kwadratowch zajmującą. Zadaje ona niepowetowaną klęskę okolicom, które nawiedza; większe jeszcze nieszczęście dla okolic, które po przybyciu szarańczy słota zaskoczy, bo szarańcza nie mogąc lecieć, piechotą wędruje i na swej drodze niszczy wszystko raz przy razie. Samica niesie naraz po kilkadziesiąt jaj, układając je rzędem po cztery. Jaja te w ziemię zagrzebuje, a że niesienie to powtarza się po razy kilka, ztąd brać można miarę niesłychanej jej płodności.

Dowody tej płodności okazuje nam przybycie jej do Francyi w r. 1763, gdzie przeszło 15,000 morgów zboża pod Arl (Arles) do korzenia zjadła; wcisnęła się nawet do stodół, aż wreszcie jak gdyby zrządzeniem Opatrz-



SZARANCZA WĘDROWNA.

ności zesłane mnóstwo ptaków, zniszczyć ją pomogło. Przy tem wszystkiem jednak, gdy na rozkaz rządu pozbierano jaja, znalazło się ich 3000 miar, które ich zawierały każda przeszło po dwa miljony.

W kraju naszym plaga ta od niepamiętnych pojawiła się czasów; najstarsi ludzie pobytu jej nie pamiętają, i zniszczenia przez nią dokonane, w podaniach jedynie przechowały się. Lud nasz wiejski opierając się na nich, twierdzi, iż za dziadów, czy też pradziadów naszych, wędrowna szarańcza takie sprawiła w polach spustoszenie, iż ziarnka zboża na zasiew nie było, i że aż zdzierano i młócono stare strzechy słomiane. Łatwo w podaniu tem dostrzedz przesadę, wszakże przechodząca z pokolenia do pokolenia wiadomość o tej klęsce znać daje o wielkiej jej rozciągłości. Lud nasz twierdzi także, iż owad ten nosi na skrzydłach swych napis, znaczący *karę Bożą*; i rzeczą jest niewątpliwą, że jest on prawdziwą karą Bożą dla okolicy, którą nawiedzi.

Abyście mieli wyobrażenie tak o ogromie mas wędrującej szarańczy, jak i klęsk przez nią zrządzonych, podajemy wam wyjątek z listu z Ukrainy, przedmiotowi temu poświęconego.(*)

„Szarańcza przyszła do nas ze wschodu w r. 1858. Pisano mi w końcu lata z Ekaterynodaru (ziemi czarnomorskich kozaków), iż szła tak grubą ławą, że zaćmiła słońce, a nad miastem jak dym pożaru widną była. Konie zaledwie brodzić mogły, bo była im po brzuch. Przeleciała Krym, gdzie z powodu wojny długo popasać nie mogła; pod koniec jesieni oparła się o powiat Kaniowski pod miastem Bohusławiem. Okolice te więcej są zaludnione, więc ławę jej niewielką wygubiono do reszty. Ale ta, która zapadła z Chersońskiej gubernii, już dla braku rąk, już też z niedbalstwa rozmnożyła się, i od tego czasu corocznie tu i owdzie przerzucała się, z różnem niszczona szczęściem. Roku zeszłego zakopała się znów w Chersońskich stepach i na Pobereżu. Czyli to oswojenie się niejako z jej widokiem, czyli wreszcie niedbalstwo, sprawiło, że nawet wiosną nic nie przedsiębrano dla wyniszczenia młodego pokolenia; zasłyszeliśmy o niej dopiero, kiedy wzniosła się w powietrze i zaczęła w miarę swojego wzrostu niszczyć okolice. Dziś przebiegła kraj ten cały od morza aż do wysokości Białej Cerkwi, a ława jej rozciąga się w naszej stronie od Dniepru, aż ku Żytomierzowi na przestrzeni około 300 wiorst (43 mil). Podobnież w Podolskiej gubernii, a zapewne i ta, co się na Węgrach pokazała, z naszej również pochodzi strony.

Kto nie widział, nie ma wyobrażenia, co to jest szarańcza. Jeżeli przeciąga, idzie jako chmura, po kilka godzin zaciemniając widok słońca; jeżeli zapadnie, to na kilka, a nawet kilkanaście cali pokrywa ziemię, i czego nie zje, to wyłamie, wytłoczy. U nas przyszła po głównych żniwach, nadpsuła trochę oziminy niezebranej lub niezwiezionej w kopach; ale proso, owies, jęczmień niszczy do szczętu. Kapusty, buraków, konopi, i kwitnącej tatarki nie psuje; suchą tatarkę je, widać, że liście więcej wodniste mniej jej smakują. Za to oczerety (*) i trawy zjada do gruntu, tak, iż dziś woły musimy sianem karmić.

Od 1go sierpnia zaczęła się parować. W tym celu zalega pola szeroko, ale rzadziej i po kilka dni na jednem przebywa miejscu. Sparowane nie wzlatują i tylko przeskakują z miejsca na miejsce; luźne zaś nad takiem polem unoszą się, formując chmurę jak kiedy śnieg zimą wielkiemi pada płatami. Gdy idzie nisko, o kilka kroków zakrywa przedmioty, a szum ciągnącej podobny jest do szumu wodospadów dalekich.

Z noclegu jeżeli dzień pogodny, ciepły, zrywa się około 9éj zrana, a siada znów około 3ej po południu.

Sposobów niszczenia jej na razie znaleść trudno. Pojedyńcze można krzykiem, strzelaniem, biciem w dzwony i metalowe naczynia odstraszyć z miejsca jednego, aby na drugie obok do sąsiada wpędzić. Możeby walcami część jej zgniotła się, ale trzeba je mieć, i trzeba nadto, aby rola równą jak stół była. Wreszcie widok ten robi wrażenie, którego opisać niepodobna; mimowolnie ręce opadają, żal serce ściska i oko się łzą napełnia.

(Dokończenie nastąpi).

Jerzy Lubomirski.

Ponieważ w kraju naszym trzej Lubomirscy, ojciec, syn i wnuk odznaczyli się zasługami,

(*) Z Tygodnika Illustrowanego.

(*) Rodzaj trzciny.

a w piśmie niniejszem mieliście wiadomość dopiero o jednym z nich, abyście zatem w czytaniu książek dawnych nie brali jednego za drugiego, postanowiliśmy kolejno życie ich opisać. Dlatego to, a nadto aby bliżej siebie postawić te postacie, z trzech życiorysów uczynić pewną całość i zebrać razem historyą znakomitej rodziny, powtórzyliśmy w nrze 41 Czytelni życiorys Stanisława Lubomirskiego dziadka, dawniej już opowiedziany, dziś podajemy w krótkości życiorys syna jego, a następnie pomówimy i o wnuku.

—

Stanisław Lubomirski wojewoda krakowski, zmarły w r. 1649, zostawił, jakeśmy to powiedzieli, trzech synów; z tych jednym właśnie był wsławiony w dziejach naszych *Jerzy* Lubomirski. W młodości swojej wyprawiony do obcych krajów na naukę, odznaczył się w Hiszpanii i od króla tamtejszego dostał w upominku pierścień kosztowny. Po powrocie do kraju zaczął służyć wojskowo pod hetmanem Koniecpolskim. U Władysława IV króla Polskiego wielkie miał względy; będąc jeszcze bardzo młodym, otrzymał godność marszałka izby poselskiej, następnie licznemi starostwami od króla był obdarowany. Za panowania Jana Kazimierza, brata króla Władysława IV, okrył się sławą w bitwach pod Zborowem (1), Beresteczkiem (2) i Zwańcem (3). Miasta na *Spiżu* (za Krakowem), uzbroił, króla szukającego schronienia podczas wojny ze szwedami, sprowadził z za granicy i w zamku swoim Łańcucie podejmował. Szwedom pod Krakowem silny opór stawił, a Rakocemu nieprzyjacielowi kraju, drogę przeciął i połączenia ze szwedami nie dopuścił. Następnie zaś zostawszy hetmanem polnym koronnym, poszedł do ziemi Siedmiogrodzkiéj ojczyzny Rakocego, zniszczył kraj jego, i wróciwszy do Polski, zwycięztwami swemi zmusił go do zawarcia pokoju. Szwedów również zwyciężył pod Warką, Toruniem i Grudziążem (4) i odebrał im całe Prusy oprócz Elbląga. Nareszcie kiedy wojny te ukończył pokój w *Oliwie* (klasztor pod Gdańskiem), był Lubomirski komisarzem traktatu tam zawartego. Walczył i na Ukrainie, ale przez intrygi królowej Ludwiki żony Jana Kazimierza, obok charakteru nieugiętego i popędliwości swojej, popadł w niełaskę u króla, tak dalece, że się musiał z własnego kraju wydalić. Umarł we Włocławiu r. 1667, a dopiero po jego śmierci sejm krajowy 1669, przywrócił mu godności i majątek, które dawniej znakomity ten wojownik miał sobie odebrane.

(1) Miasto w dawnem województwie Ruskiem.
(2) Miasto w dawnem województwie Wołyńskiem.
(3) Miasto w dawnem województwie Podolskiem.
(4) Miasta w Prusach.

Przestroga na czas burzy.

—

W czasie burzy, grzmotów i piorunów, ludzie na wsi zwykli się chronić pod wysokie drzewa, i częste zdarzają się wypadki, że piorun uderzając w nie, zabija tych, którzy pod jego gałęziami szukali osłony przed deszczem. Prócz tego, wracający z łąki kosiarze i żniwiarze, narzędzia swoje nago niosą, nie bacząc, że piorun mogą one ściągnąć. Niedawny wypadek powinien być przestrogą na przyszłość dla wszystkich.

W Piotrkowskiem zbierała się wielka burza: czarne chmury zasunęły całe niebo, grzmot coraz głośniejszy zbliżał się nad pole, z którego żniwiarze przed ulewnym deszczem uchodzili; uderzyło nawet w pobliżu kilka piorunów. Dziedzic tej wsi jechał właśnie konno, a ujrzawszy młodą dziewuchę niosącą kilkanaście sierpów na ramieniu, zdala wołał na nią, ażeby płachtą czy fartuchem zakryła je. Ale dziewucha, czy nie dosłyszała, czy nie dowierzała, szła dalej, i właśnie kiedy dziedzic dojeżdżał coraz bliżej, piorun w owe sierpy uderzył, zabił ją, a tych, co szli z nią razem, ogłuszył i powalił na ziemię.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90— kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie.
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 9 (21) października 1860 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*